

# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

## KOŚĆ SŁONIOWA.

Używając często jakichś przedmiotów, nie zastanawiamy się nieraz, ile trudów kosztowało zdobycie materiału, z którego są wykonane, ile wyrób ich czasu i pracy wymagał. Gdy palcami przesuwamy po klawiszach fortepianu, bawimy się kulami bilardowymi lub trzymamy w ręku delikatne płatki wachlarza, szczotki w kość oprawne, grzebienie, gałki do lasek i t. p., czyż pamiętamy, że owa kość sprowadzona po większej części aż z głębi Afryki i że jej nabycie okupione bywa życiem największego i najzmyślniejszego wśród czworonożnych zwierząt. Dla dogodzenia wymaganiom wybrednych Europejczyków, w ciągu lat czterech: od 1879 do 1883 zużyto 838,000 kilo kości słoniowej, a dla dostarczenia jej padło ofiarą 65,000 sztuk słoni.

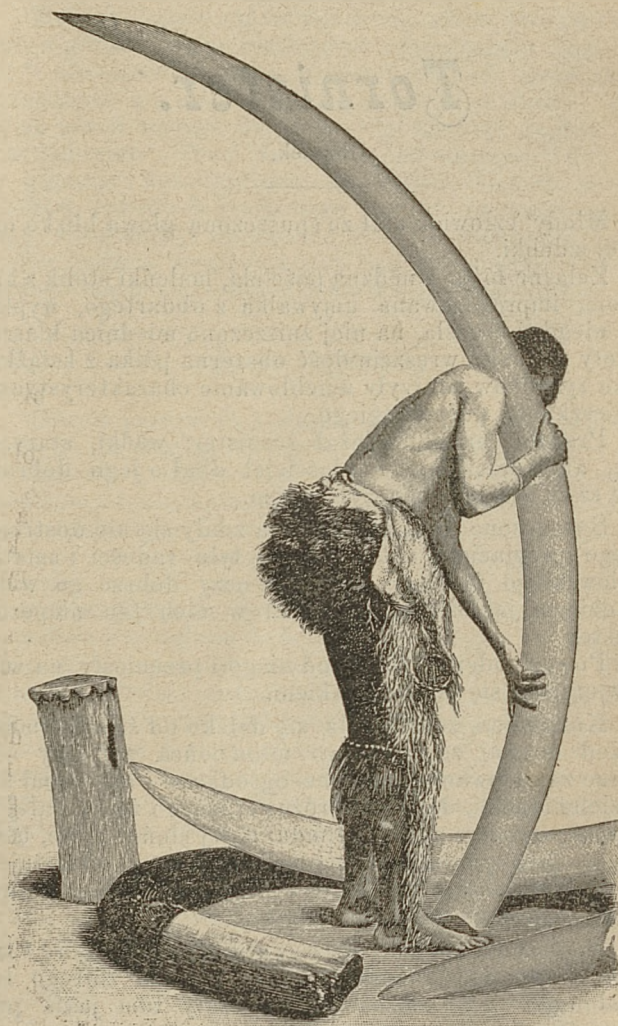
W starożytności znano już kość słoniową, używaną do wyrobów dzieł sztuki. Drogocenne wyroby egipskie z tego materiału dotychczas przechowywane są starannie w muzeach. Starożytni Grecy z kości słoniowej, ozdabianej złotem, robili posągi bożków swoich; sławny rzeźbiarz grecki Fidiasz swego Jowisza olimpijskiego wyrzeźbił z kości, narzucając z wierzchu oponę ze złota.

Rzymianie, głównie w epoce cesarstwa, używali kości słoniowej do wyrobu zbytkownych mebli, klejnotów i różnych drobiazgów. W wiekach średnich z cennego tego materiału wyrabiano różne ozdoby kościelne i domowe, jak obrazy świętych, relikwiarze, pastorały, misternej roboty skrzyneczki i t. p.

Najpiękniejsze jednak dzieła sztuki z kości słoniowej wykonali słynni artyści z XVI i XVII wieku, zwłaszcza Benvenuto Cellini, któremu nikt w tym kunszcie dorównać nie zdołał. Japońskie i chińskie figurki z kości słoniowej odznaczają się delikatnością i czystością roboty, ale i brakiem smaku estetycznego, wedle pojęć naszych.

Obecnie, jak już wspominaliśmy, kość słoniowa służy w Europie nietylko do celów artystycznych, ile do przedmiotów codziennego użytku, szerokie znajdując zastosowanie, zapotrzebowanie jej w skutek tego jest ogromne.

Największy znany okaz kła słoniowego, pochodzącego ze środkowej Afryki, nabyła fabryka Meyera w Hamburgu;



Największy ze znanych kłów słoniowych.

długość jego wynosiła 2.95 metra. Zwykła długość kłów dorosłych słoni bywa 2 metry waga zaś od 30 do 90 kilogr.

Najpiękniejsze jednak okazy kłów słoniowych nie dochodzą do Europy; krajowcy zatrzymują je dla przyozdabiania niemi mieszkań swoich, grobowców i świątyń.



W przyszłości jednak grozi nam brak zupełny tego cennego materiału, niedaleką bowiem jest chwila, w której ostatni okaz wspaniałych i zmysłnych słoni padnie pod ciosami chciwych zysków krajowców, lub zginie od kuli żądnych wrażeń myśliwych. W Indyach, gdzie dawniej liczne stada słoni wytepiać musiano trucizną dla ochrony tratowanych przez nie plantacji, dziś już zwierzę to stało się rzadkością.

Wielkie zapotrzebowanie kości słoniowej pokrywają w części dostawiane z północnej Syberyi, znajdujące w stanie kopalnym kły mamutów, zdadne do wyrobu na równi z kłami słoni. Materiału tego przywożą z tamtych stron do 20,000 kilo rocznie, co świadczy o wielkiej ilości olbrzymich zwierząt, żyjących niegdyś w owych zimnych strefach.

Prócz tego na równi z kością słoniową używają dziś do wyrobów różnych przedmiotów: zębów koni Nilowych, wielorybów, narwałów i t. p.

*P. Gr.*

## Tornister.

Obrazek.

Młody człowiek stał ze spuszczoną głową blisko okna nizek izdebki.

Zelazne łóżko z nędzną pościelą, małe stolik z krzesłkiem, improwizowana umywalka z obdartego, wypłatanego niegdyś krzesła, na niej zniszczona miednica blaszana i zmięty ręcznik, wreszcie dość obszerna półka z książkami i kilka rysunków tworzyły meblowanie charakterystycznego mieszkanka uczniowskiego.

Prawda! na oknie leżał tornister; wielki, stary, wytarty, ale widocznie, że właściciel dbał o jego dobrobyt: gęste szwy i łatki świadczyły o tem.

Spuszczone oczy młodzieńca zdawały się nie dostrzegać starego przyjaciela i towarzysza tylu radości i smutków uczniowskiego żywota. Lecz te oczy dobrze go widziały i dziwne jakieś blaski budził w nich ten niepozorny tornister.

Powoli oderwały się od niego i przeniosły na widok roztwierający się poza okienkiem.

Kamienica znajdowała się daleko od środka miasta, i przed oczami zamyślnego młodzieńca widniały coraz radsze zabudowania, okolone ogródkami i drzewami świeżo ozienionymi, dalej pola różowe, szare i żółte, dalej niebo zaczerwienione zorzą zachodu; dalej słońce złote, uśmiechnięte, lecz tym półuśmiejchem sennym, co zwiastuje rychły zachód, jeszcze dalej niebo jasne, niebieskie, szafirowe ciemne i coraz ciemniejsze.

Spojrzenia zwróciły się z swej wędrówki w górę i zapatrzyły w granicę różowego nieba i jasno żółtego łanu; przesłonięte mgłą rozmarzenia ujrzały tam jakiś punkt ciemniejszy.

— Co to być może? Ach! tornister... tak, a jaki ładny, nowy, takim był gdy go dostał w trzeciej klasie od ojca... nie, od matki... tak, od matki

— Jak to było? Ach, pamiętam Zielone Świątki! tak, pięć... sześć już lat temu.

— Od mamy pierwszy tornister po wstąpieniu do gimnazjum.

— A przedtem? przedtem pan Stanisław! dobry człowiek, jak on mnie kochał. Co on mnie nauczył! Żyć, tak, żyć mnie nauczył!

— A dalej jak było?

Młodzieniaszek przebiegał myślą cały swój pobyt w szkole. Pierwsze chwile między kolegami, oszołomienie, tęsknota. Potem dalej, dalej: jak dumnym był ze swego tornistra, gdy go za promocję na Zielone Świątki dostał, jak go po wakacjach kolegom pokazywał, jaki był kontent...

Myśli dalej biegają w szalonym pedzie. Widzi się w czwartej, potem piątej klasie. Tysiące ubiegłych pragnień, tysiące ubiegłych chwil smutnych i wesołych, stają w jednym oka mgnieniu przed wyobraźnią marzącego. Widzi, jak otoczony gronem kolegów, z ciężkim tornistrem na plecach dąży z gmachu szkolnego. Z początku te spacery głośne były, wesołe: śmiech i żarty rozlegały się po ulicach, gdzie przechodziła gromadka czwartoklasistów.

Potem śmiechy coraz cichły, rozmowy spowaźniały, a tornister? tornister po dawnemu służył!

Ileż to setek, tysięcy razy otwierał się i zamykał; książki i zeszyty wychodziły i wchodziły nieskończonym korowodem.

Potem szósta klasa; o w szóstej odpoczywał często stary tornister, pocziwiec nie gniewał się.

Ile razy bywało, leży sobie całą noc spokojnie i drzemie, a pana niema, bawi się, tańczy, a ile to razy służył za siedzenie któremuś z kolegów; rozmawiają, deklamują, śmieją się, bawią wesoło. Oj za wesoło było, rok się straciło, pan został na drugi rok, a tornister z panem.

Pamiętał tornister błogie chwile, o błogie! Ile to razy koło kościoła, tam na rogu był otwierany! Ot po co? On wie i nie zapomni.

Taki miły staruszek, jak gołąbek, łagodny, cichy, ile to razy próbował buleczeni z jego wnętrza! A z wakacji! Z wakacji wracał zawsze pełen specjałów, a dobre były, a słodkie, bo z domu, bo od matczki...

Zna tornister swój dom na wsi, choć leżał bezużytecznie niby, ale widział dużo, ach, jak tam dobrze, jak pocziwie, jakie ciepło! Jak w niebie!

Ostatni rok, ostatnie chwile. Teraz koniec, koniec wszystkim uciechom i radościom, a tak dobrze było! Tornister wzdycha: „O, Doże, mój Boże, co będzie teraz, co będzie?! A głos jakiś brzmi z przestworza: „Jeszcze nauka, a potem czas działania, czas czynu, a potem czas zbawienia!”

*J. R.*

*Zofia Urbanowska.*

## RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

— Pleń ta, widzicie, nikomu nie zrzadza żadnej szkody — odezwał się przewodnik — ludzie nasi plenia zbierają, suszą, posypują nim siasieki, stajnie, izby, bo chleb, widziecie trzyma się domu takiego.

— Czy pleń pojawia się tylko w Tatrach? — zapytał Warburton.

— Bywa w Beskidach, bywa pod Bochnią. Widział go też ks. Jundziłł na Litwie. Pojawia się on w niektórych krajach północnej Europy, a także w Niemczech i Tyrolu. Kraje gorące prawie go nie znają; pleń nie znosi upału i światła słonecznego, lubi cień i chłód, a pojawia się zwykle tam, gdzie jest dużo igliwia rozsypanego.

Wszyscy przypatrywali się temu niezwykłemu zjawisku, a wąż pełzał ciągle falistym ruchem, posuwając się nieznacznie.



— Może to pleń bywał przyczyną w wiekach średnich tyłu bajek o wężu morskim — odezwał się malarz.

— Jestem prawie tego pewny — odparł Strand.

— Jakim sposobem one się tak mocno z sobą trzymają? — zapytał Henryk.

— Lepka ciecz na powierzchni ciała każdej gąsieniczki, spaja wszystkie tak silnie, że pleń niejako jedno tworzy ciało.

— Ale jeżeli te gąsieniczki są beznożne, jakim sposobem posuwają się naprzód?

— Pochód jest wynikiem posuwania się naprzód wszystkich gąsieniczek razem. Każda z nich bowiem ślizgnie po towarzyszkach sobie najbliższych; wypreżając co chwila przód ciała i posuwając tył za sobą, posuwa się tym sposobem o jeden milimetr, a jedna prześciga drugą w kierunku pochod. Przez to ustawicznie zmieniają swe położenie; wierzchnie cisną się pod spód, a spodnie wychodzą na wierzch. Mają one zawsze przewodniczki i co te przewodniczki, tamte, jakby za poprzedni porozumieniem, naśladują. Dowództwo nie jest stałe. Każda może przewodzić, skoro tylko dotrze do spodu, a przewodniczki nie różnią się niczem od innych.

— Jestto więc coś nakszałt republikańskiego ustroju.

— Jaka jest szybkość tego pochodu?

— Możemy to łatwo sprawdzić: te na które tu patrzymy, uszły w pięciu minutach dwa cale drogi, więc na godzinę stóp dwie, a na cały dzień czterdzieści ośm. Zatem na oddalenia się o ćwierć mili, potrzebowałyby czterech miesięcy.

— A jednak patrząc na ruch plenia, zdaje się, że się prędzej posuwa.

— Jaki jednakże jest cel tych pochodów?

— Tego stanowczo orzec niepodobna. Uczni bardzo się już nad odgadnięciem tego biedzili, ale napróżno. Jestto przedziwna właściwość, jakiej żadne inne zwierzę nie posiada, a cel jest dotąd i może pozostanie na zawsze tajemnicą, do której klucz spoczywa w ręku Boga, ukazującego nam w pleniu jeden ze swych cudów. Co jednak zadziwia najwięcej u tych wątych gąsieniczek, to ich wytrzymałość. Wyobraźcie sobie, że one pół dnia, dobę nawet, idą bez odpoczynku, a zachowują się jak karne i dobrze wyćwiczone wojsko.

— Ileż w tej armii, którą widzimy przed sobą, może być żołnierzy? — zapytał Warburton.

— Co najmniej 15000.

Przewodnicy nieradzi tak długiemu zatrzymywaniu się podróżnych, zaczęli naglić do drogi, bo słońce szło coraz wyżej, ale doktor Strand jął kręcić się i trzeć czoło z widocznym zakłopotaniem, aż baronet zapytał go, co go tak niepokoi.

— Chciałbym — rzekł — zabrać z sobą plenia.

— Zabrać z sobą — zapytał zdumiony Anglik — a na cóż to panu potrzebne? Czy z jego pomocą chcesz znaleźć swego Brachiopoda?

— Chcę zobaczyć jak pleń zachowuje się w niewoli. Krzywdy mu przez to żadnej nie uczynię. Furaż dla tego wojska, stanowią cetyniki świerkowe, korzonki i mech, a tego mu w drodze nie zbraknie.

Warburton pokręcił głową, ale nie sprzeciwiał się. Przewodnik zaś wziął od jednego z górali koszyczek z zapasami, przełożył jego zawartość do torby, wyłożył koszyk gałązkami, nasypał próchnicy i cetynek, poczem ostrożnie ciupaga jął zgarniać węża do koszyka. Nasypał znowu próchnicy na wierzch, przykrył wiekiem, ku wielkiemu zadowoleniu profesora, poczem orszak znowu ruszył w dalszą drogę.

— Nie przypuszczałem, że na zdobycie róży bez kolców, będę szedł w piętnaście tysięcy wojska — rzekł, śmiejąc się baronet.

Wkrótce znaleźli się na hali, wśród licznej osady pastarzy i pasterek, i napisać się mleka kwaśnego, ruszyli dalej ku Czarnemu Stawowi. Szli przez tak zwaną Suchą wodę, to jest łożysko potoku, którego nie widać, bo płynie

gdzieś pod głazami. Słysząc tylko jego szum i chwilami błyska z pod kamieni żywe srebro. Przewodnik prowadził ich teraz drożyną wyrobioną w zboczu góry i ukazał z dumą wysokie kopulaste drzewo z długimi, jedwabistymi frendzlami iglic, mówiąc:

— Limba!

Na ziemi leżało sporo błyszczących, jakby politrowanych szyszek, pod łuskami których były drobne ziarna orzeszkowate. Chłopcy nakładli w kieszenie ile się zmieściło, górale bowiem powiedzieli im że są jadalne. Spróbowaawszy, przekonali się że smakują jak migdały, a doktor dodał, że z drzewa limbowego i z kory jego otrzymywany bywa balsam, zwany karpackim.

— Niedys — mówił — były w Tatrach całe lasy limbowe, a teraz z tych lasów zostało już tylko po kilkanaście drzew, które też troskliwą otoczono opieką, aby je od głady uchronić.

Miedzy głazami, w pobliżu limb, rosły na wysmukłych silnych łodygach żółte goryczki, z których jedną wyrwał przewodnik, i pokazując gruby korzeń, mówił że jest lekarstwem na różne choroby żołądkowe i niemoce ogólne ciała. Grubością łodyg tak się różniły od innych goryczek, że zdaleka można je było wziąć za rośliny krzewiaste.

Henryk dopytywał się raz po raz gdzie, jest ów Czarny Staw, a górale swoim zwyczajem odpowiadali ciągle: „nie prec,” ale stawu nie było, choć już widzieli amfiteatr gór otaczających go i domyślali się, że jest tuż blisko. Zasłaniał go przed oczyma idących zwal kamieni zostawionych przez lodowiec. Trud dał się im już uczuć. Szli między głazami i kosodrzewiną, a szkielety białych uschłych świerków, porośłych brodaczem, raz po raz zastępowały im drogę, niby duchy zmarłych. Zaczęli wstępować na wał, i szyba jeziora wyglądającego jak szmaragd w oprawie czarnego marmuru, odsłoniła się w całej okazałości.

### Żywe kryształły.

Górale pozzrucali z pleców swoje ciężary i zabrali się żwawo do ich rozpakowywania. Porozpościerali oni plety na gałęziach kosodrzewiny, sposobiąc dla strudzonych podróżników miękie, uginające się lekko posłania, nie ustępujące sprężynowym materacom. Towarzysze baroneta rzucili się na nie z rozkoszą, on tylko sam nie kwapił się do spoczynku; wodził wzrokiem po gładkiej szybie jeziora, nad którym piętrzące się Granaty, Czarne ściany i Kościelec, podobny kształtem do fasady gotyckiego kościoła, szczególnie dziki nadawały mu charakter. Profesor Strand chciał natychmiast rozpocząć swoje poszukiwania, ale widząc wszystkich pończonych i przewidując opór, postanowił uzbroić się w cierpliwość i czekać. Tymczasem usiadł za przykładem innych, a usiadłszy, ocenił przyjemność wypoczynku — bo przewodnik urządził mu z gałęzi kompletny fotel, z miękkim dla pleców oparciem.

— Ciekawy jestem, od czego pochodzi ciemna barwa tej wody — odezwał się Strand. — Słońce nie łatwo przedostaje się przez otaczające je półkołem kolosy, które też cień na jezioro rzucają.

— Musi tu być głębina niezmierna — szepnął baronet. — Czy wiadomą jest głębokość tego jeziora?

— Wszystkie stawy tatrzańskie pomierzył Eugeniusz Dziewulski — odrzekł Jakób — ten tu pod Kościelcem dochodzi do 47 metrów głębokości. Co zaś do rozległości, zajmuje trzecie miejsce w rzędzie stawów tatrzańskich. Czy Wasza Dostojność zwraca uwagę na dziwną przezroczystość tej wody?

— Zastanowiła mnie już ona — powiedział Warburton; — do głębokości kilkunastu co najmniej metrów, widać głazy występujące dno przy brzegach.

— Wszystkie jeziora o dnie granitowem mają wodę nadzwyczaj czystą — wtrącił Strand. — Rozbiór chemiczny wody jezior tatrzańskich wykazał bardzo małą ilość skła-



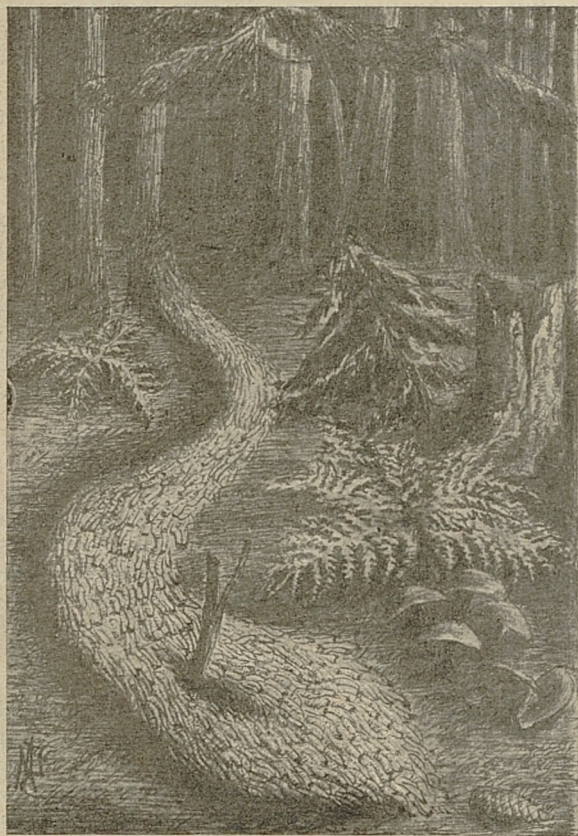
dników mineralnych rozpuszczonych, stałych. Jest ona jakby dystylowana i temu to zapewne brakowi gazu węglowego należy głównie przypisać ubóstwo stawów w rośliny i zwierzęta; to też mieszkający stawów są prawie wszyscy mikroskopijnie drobnymi istotami.

— No, i zbyt zimno jest także dla wszelkich innych stworzeń w tej wodzie, mającej na powierzchni 11, a na dnie tylko 5 stopni Celsiusza — odezwał się Jakób — tylko pański arystokratyczny Brachiopod, którego przodkowie sięgają okresu lodowego, może się tu czuć dobrze i nie dostać kataru.

— Brachiopod, ach! — zawołał Strand, zrywając się i usiadł natychmiast, czem pobudził wszystkich do weselości.

Dawid bujający się na posłaniu z kosodrzewiny, jak na fotelu z biegunami, raz po raz zwracał głowę w stronę

*Do powieści: Róża bez kolców.*



P l e Ń (str. 354).

ogniska, przy którym kręcili się górale: nęciły go dolatujące stamtąd zapachy. Jerry, zapasawszy fartuch, smażył jaja z szynką, a Bahleda, przewodnik doktora i malarza, ogrzewał w żelaznym rondelku bigos, w który zaopatrzyła ich na drogę panna Katarzyna. Z kotliczków buchała para. Henryk wydobył z koszyka serwetę, kilka talerzy, noże, łyżki, widelce, i rozłożywszy nakrycie na mchu, położył chleb, a wzięwszy opłatą flaszkę z wódką przywiezioną z Miratycz, oraz srebrny stary kubeczek i napełniwszy go po brzegi, podał Warburtonowi.

— Może Wasza Dostojność raczy spróbować naszej litewskiej nalewki — powiedział uprzejmie.

— I naszego bigosu — dodał Witold, posuwając ku niemu dyniący rondel.

— I owszem — odrzekł Warburton rzucawszy przełotne spojrzenie na butelkę, na której drobnym kobiecym pismem widniał napis: „Zubrówka,” a obok niego data. Wziął w rękę kubek i, gdy go niósł do ust, nozdrza mu się rozděły jak u rumaka stepowego, gdy poczuje w bliskości

zapach burzanów. Wypiwszy, przypatrzył się kubkowi i puścił czarkę w kole; Witold nie spuszczaający z niego oczu, zauważył, że na twarz baroneta z lewej strony wystąpiły mały, ceglasty rumieniec.

— Patrz pan — szepnął do Jakóba — patrz tylko na niego. W dolinie Kościeliskiej pił stary tokaj jak wodę, szklanka po szklance, a kieliszek nalewki litewskiej poszedł mu do głowy!

— To mocniejsze niż koniak i whisky — odrzekł do ktor.

Baronet nałożył sobie sporo bigosu na talerz, ale nim jeść go zaczął, długo przypatrywał się łyżce, którą mu podano. Była to okrągława, srebrna, dobrze już zdarta łyżka z cyframi i herbem zaledwie widocznym.

Witold, który widocznie obrał sobie angielskiego magnata za przedmiot do studyów, wkrótce tracił znów łokciem Jakóba.

— Czy widzisz jak zawija polski bigos?

— Nic dziwnego: po takim wygłodzeniu! Jestem pewny, że gdyby się znajdował na Wschodzie, zjadłaby tak samo smażoną w miodzie szarańczę.

— Hm; ja jednak znam taką potrawę, której żaden Anglik nie przełknie.

— Nie wątpię, jeżeli to będzie jakaś obrzydliwość!

— Bynajmniej: ulubiony na Litwie całej przysmak.

— Czy można wiedzieć, co takiego?

— Zobaczysz pan jutro lub pojutrze, bo sam ją przyrządzę.

— Nie wiedziałem, że pan posiadasz zdolności w tym kierunku. Ale patrzaj, jak drugi Anglik zawija bigos!

— Walter? o, to jest Anglik pół krwi: odezwały się w nim instykta dziada. Ale mały hrabia za to jeść nie chce.

Dawid spróbował bigosu, odsunął talerz i wziął się do szynki; nie w smak mu były sarmackie potrawy i wódka litewska od której krztusił się przez kwadrans. Strand jadł i pił wszystko co dawano; myśląc ciągle o Brachiopodzie, posilał się prawie machinalnie, nie zwracając uwagi na naturę tego co połykał.

(d. c. n.)

## IO i II list Janka Ż. do Redakcyi Wieczorów.

(Dokończenie).

Nie, to coś straszniejszego nad wszystko, to był waż! jadowity Cobra! zawisł nademną i kołysał z wolna grube swe cielsko, wybierając miejsce, gdzie się ma rzucić. Mungo chrapał, jak tylko Murzyn chrapać przez sen potrafi, a mnie kostniały członki, śmiertelny pot oblewał ciało.

Tymczasem waż spadł na posłanie, czuję dotąd jego ślizgie dotknięcie. Zwabiony ciepłem derki popełnił na nią i zwinął się w kłębek.

Wstrzymałem oddech, bo wiedziałem, że najnińiejsze poruszenie mogło mnie zgubić, strach odbierał mi przytomność, a tu należało coś radzić, radzić natychmiast, za chwilę mogło już być za późno.

„W cieniu Swych skrzydeł zachowa cię wiecznie, pod Jego pióry uleżysz bezpiecznie, mówiłem drżącemi wargami i wiara, że Bóg nie zawiedzie mej ufności, dodała mi odwagi. Szybciej niż wypowiedzieć zdołam, szybciej chyba niż myśl, schwyciłem brzeg derki, osłaniającej moje ramiona, nakryłem kołdrą węża i zwinąwszy go w nią, cisnąłem cały pakiet w głąb szafasu, krzycząc co sił na Mungo. Ale Mungo chrapał, porwałem kij, leżący obok jego posłania i zacząłem bić nim po derce, która wzdynała się bo gad podnosił ją swem obrzydliwym cielskiem, próbując wypęznąć z pod kołdry.



Wąż Cobra jest jadowitym i bardzo niebezpiecznym wężem, łatwo można jednak przetrącić mu kregosłup, zabicie więc potwora nie należało wcale do prac herkulesowych i nie mam się co chwalić tym zwycięstwem. Ja się też nie chwale, koledzy, tylko siadłem pisać do was, bo za nic nie zinrużyłbym dziś oka. Wiatr szeleści chrustem, a mnie się zdaje, że to węże spuszczaają swe olbrzymie celska przez szerokie szpary desek. Jakie szczęście, że mam świecę, a już też i słońce wejdzie niedługo.

8 lipca wieczór.

Wracam z redakcyi! aż się wstydzę, koledzy, napisać wam, jaki spotkał mnie zaszczyt. Ale napisać muszę, gdyż inaczej nie wiedzielibyście, czem zarabiać będę na życie i może posądzałyby mnie który z was o to, że jak darmozjad korzystałem z okruszków stołu pana pułkownika Ryszarda Colena. Aż zarumieniłem się na tę myśl i wolę już szcze-

z radości. Mogę teraz czekać na przyjazd marszałka Roberta, bo będę miał za co kupić sobie ubranie i jedzenie. Będę mógł nawet może dopomóc pani Katy Burns, u której byłem dziś rano. Pozwoliła mi sypiać w dawnym tatki pokoju, jestem jej za to bardzo wdzięczny, bo obicie jest to samo i dwa krzesła zostały z dawnych mebli, miło mi patrzeć na nie. A przytem nie będę się już obawiał najsia węży, brrrr!...

Chciałem, żeby Mungo sypiał ze mną, ale on mówi, że Cobra nie przyjdzie, woli swój szałas. Pewnie, wszak on jego własny.

20 lipca.

List leżał długo raz dlatego, że musiałem wprzód zrobić na marki, a potem, że ręka drętwieje mi od pisania w redakcyi, więc w domu wolę inną robotę. Rąbię drwa dla pani Katy lub wytaczam fotel sparaliżowanego pana

*Do powieści: Róża bez kolców.*



Czarny staw (str. 355).

rze opowiedzieć, co zaszło. W redakcyi, rwetes, biegająca, gwałt, niema komu nadażyć pracy, przyjęto mnie też z otwartymi rękami, kiedy ofiarowałem swe usługi jako roznosiciel kuryera. Jeden z panów, siedzących przy biurku, przypatrywał mi się uważnie. Nagle wstał, podszedł do mnie i zapytał po angielsku:

— Umiesz pisać ortograficznie?

Zawstydzilem się, bo cóżby powiedział, kochany tato, że jego syn wygląda na takiego, który nietylko do szkół nie chodzi, ale pisać nie umie. Byłem obdarty i podobniejszy do włóczęgi niż do literata, rzekłem jednak śmiało, że ortografię angielską znam dobrze.

— Przepisz ten ustęp — powiedział nieszajomy, wskazując mi papier leżący na biurku.

Przepisałem, nie chwając się, czysto i porządnie.

— Dziś masz robotę przy mnie, za którą zapłacę ci szylinga. Jeśli będziesz pilny, użyjemy cię do układania małych reporterskich wiadomości z pensją 20 szylingów tygodniowo. Czy dobrze?

Czy dobrze? Pyszny facet, toż mało nie oszalałem

Burnsa i wożę go po ogródku. Ale dziś dostałem dwugodzinny urlop, korzystam z wolnego czasu i kończę list. Anglicy pomartwieni, bo Burowie wczoraj napadli na lewe skrzydło generała Pole Carewa, dowodzone przez generała Huttona. Oskubano porządnie nieprzyjaciela, zabrano mu działa i niewolników. Jednocześnie pięciuset Burów przedarło się przez kordon wojsk Huntera i dotarło do Lindleyu, nasiekawszy po drodze sporo Anglików. Holendrzy dawno już nie odnieśli tyle zwycięstw, a De Wett i Botha wymykają się wybornie z pułapek, jakie zastawia na nie marszałek Roberts i płątają wciąż dzielne figle.

Nie napisałem najważniejszego. Oto Roberts ma już w końcu tego tygodnia przybyć do Johannesburga. Zobacze marszałka i dowiem się coś o drogim moim ojcu!

Czekam go tak niecierpliwie. Dostałem zaliczkę w redakcyi i kupiłem sobie ubranie. Mungo tańczył z radości, zobaczywszy mnie w nowym garniturze. Kupiłem także kawy, dosypuję ją do puszek pani Katy. Dziwi się często, że tak mało ubywa jej zapasów. Biedna ona, biedny pan Burns, od Roberta niema dawno żadnej wiadomości.



Ide wyprawić list i myślę z radością, że za tydzień marszałek powie mi, gdzie przebywa mój drogi ojciec.

Zegnajcie koledzy  
Struś.

Zapomniałem podzielić się z wami jedną jeszcze radością. W domu pana Burnsa, na strychu leżała paczka rzeczy zostawionych przez tatkę. Poznałem kuferek i pani Katy przypomniała sobie, że ma od niego klucz. W kufierku były różne papiery, których nie śmiałem czytać i książki zabrane jeszcze z Warszawy. Ach jakże się ucieszyłem, odnalazłem wszystkich moich dawnych przyjaciół: Mickiewicz, Sienkiewicz, Orzeszkowa. Otworzyłem „Nad Niemnem” i czytałem z rozkoszą opowiadania o wsi, o źnie, o puszczy. Zdawało mi się, że patrzę na wszystko własnymi oczami, bo mama moja rodziła się w okolicach opisywanych tak pięknie. Czytałem głośno, upajając się rozkoszą wymawianych słów. Zdawało mi się, że jestem znów w kraju, z wami, koledzy, że mówicie do mnie po polsku. Od tak dawna słyszę tylko Anglików lub Holendrów. Rozłożyłem książki na stole w moim pokoju i już nie jestem sam, mam w koło przyjaciół, którzy czują tak jak ja.

## TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A.

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Gdy zaś podróżny raz tu zajedzie, jakże mu łatwo z tego punktu zwiedzić inne miasta kraju, z pomocą bądź to licznych gałęzi kolei żelaznych, bądź też równie pospiesznych parowców. I gdyby tylko nie potrzebował się liczyć z każdą godziną, dojechałby niezawodnie do Mariposa w pobliżu pięknej doliny Yosemite, gdzie nie braknie nigdy ciekawych turystów, lub nad cieśniną Carquinez do Benicia, zład parowe promy przewożą całe pociągi do Santa-Clara i sąsiedniego San-José. A czyż nie warto poświęcić trochę fadygi w podróży do San Diego, pięknie rozłożonego nad zatoką z portem,—lub do Los-Angeles na południowym wybrzeżu słynnego ze zdrowotności klimatu, z najbujniejszą dokoła roślinnością stref gorących, z lasami drzew eukaliptusowych, kauczukowych, pieprzowych, pomarańczowych i t. d. — gdzie rok cały nie zbraknie najwyborniejszych świeżych owoców i gdzie też spieszy wielu z całej zachodniej Ameryki dla wypoczynku i nabrania sił.

Ale komodor nie pragnął widzieć nic z tego, bo czyliż i tak nie miał dosyć owej szalonej jazdy od Keeler do Doliny Śmierci? Tylko dobrze jeszcze, że na niewygodę nie mógł się skarżyć. Samochód przysłany z Sacramento z udoskonalonym motorem naftowym, systemu Adamsona, ogólnie przyjętym w Ameryce, działał bez zarzutu.

Pogrążony w ponurych myślach, jakie mu nasuwała bezustannie nieszczęsna pięćdziesiąta trzecia przedziałka, narzucona przez neliłościwy los, siedział milczący szósty partner obok swego towarzysza w głębi pojazdu, gdy na przodzie, blisko maszyneryi, zajmował miejsce mechanik i jego pomocnik.

A nie był to tylko żal za utraconemi pieniędzmi na olbrzymie koszta tej szalonej podróży, choć komodor lubił grosze, ale tym razem słabostka ta ustąpiła pierwszeństwa podrażnionej miłości własnej, która nie chciała zezwolić, by uznać się miał za pokonanego i usunął od dalszej

gry, zostawiając swym rywalom o tyle więcej warunków zdobycia milionów dziwaka...

Lecz czy wesołe, czy ponure były myśli jadących, samochód pędził ciągle z równą szybkością, mijając rozrzucone osady u podnóża łańcucha Sierra Nevada, w którym góruje na 1400 stóp wysoki szczyt Whiney. Wreszcie po przebyciu rzeki Chay-o-poo-wapah, na wprost indyjskiej wioski Indian Wells, zwrócono się na południe-wschód.

Zrazu nie było to jeszcze zupełne bezludzie. Tu i owdzie widniały chaty osad indyjskich Mohawsów, niegdyś panów tej ziemi, lecz stopniowo zabrakło i tych, a równocześnie też i roślinność coraz to skrotniej się przedstawiała. Oprócz krzewów kreozotowych, yuk i kaktusów, próżno oko podróżnego szukałoby zieleności.

O, jakżeby ta podróż inną była, gdyby nie do smutnej Doliny Śmierci, lecz do bogatej w uroczę widoki Doliny Yosemite, leżącej wśród gór Sierra Nevada, miał podążać Urrican; a gdyby jeszcze na jego miejscu znajdował się taki Maks Real, ileż wrażeń, ileż wspomnień byłby zachował, choćby z najkrótszego pobytu w tem ustroniu, dorównyującemu swą niezwykłością nawet Narodowemu Parkowi w Wyoming!

Ale tu w miarę jak samochód posuwał się naprzód, coraz to większa roztaczała się pustka. Gdzienigdzie tylko nędzne okazy roślinności, którą ani koń ani muł nawet nie mogłyby się pożywić, a na gliniastym nagim gruncie białeły niby szeroko rozpostarte płachty, wykwitającej na powierzchni soli. Czasem zamajaczyła wśród wzgórz wiotka topól lub chorobliwej bladej wierzby, a całemi grupami rozsiadały się najsmutniejsze dla oka bezlistne kaktusy, znane w Kalifornii pod nazwą *petalinas*, z suchemi na pozór gałęziami, niby świeczniki pogrzebowe, na tem polu śmierci, po którym szaleją często huragany rzucające tumanami piasku z licznych wydmy miejscowych.

Zdaniem przyrodników, wązka a długa ta dolina była w odległych czasach łożyskiem rzeki, którą w obecnej dobie pochłonęło jezioro zwane Soda-Lake. Z niego to właśnie unoszą się opary osadzające na nędznej wegetacji igielki krystalizującej soli, przytłumiając wszelkie życie.

I przynajmniej trzeba, nie mógł zmarły dziwak dobrać odpowiedniejszej miejscowości na ową nieszczęsną pięćdziesiątą ósmą przedziałkę, oznaczoną w grze Gęsi trupią głową, bo jest to jakby wielkie cmentarzysko, otoczone skalistym murem.

Przy pierwszej takiej skale zwanej Funeral Mounts, ku pamięci, iż tu miała niegdyś zginąć jakaś karawana, zatrzymał się komodor i skreśliwszy dokument stwierdzający jego tu obecność dnia 3-go czerwca, złożył go z podpisami Turka i obu mechaników, jako świadków, pod wielkim odłamem skalnym. A po dopełnieniu tej koniecznej, zdaniem jego formalności, przerwał wreszcie długotrwałe swe milczenie, wypowiadając to jedno słowo:

— Jedźmy!...

Bo i po cóż miałyby zatrzymać się tam dłużej? Czas na chyżych ulatywał skrzydłach, a powrotna podróż była daleka... Więc potoczył się samochód po tej samej drodze, którą tam podążał, przez północną stronę pustyni Mohaws, przez wąwozy między górami Nevada, i dalej, coraz dalej, aż stanął w Keeler 5-go czerwca o 11 godzinie z rana, po przebyciu dwustu mil tam i drugich dwustu z powrotem, bez chwilowego spoczynku.

Po zwięzłych słowach podziękowania i doręczeniu sówitej nagrody mechanikowi, zwrócił się komodor do Turka z rozkazem:

— Jedźmy! A ponieważ pociąg przez niego zamówiony i opłacony stał już na linii, więc niezwłocznie podszedł do maszynisty, aby mu powtórzyć ten sam krótki rozkaz:

— Jedźmy!...

W parę minut potem rozległ się świst, buchnęła para i expres potoczył się po relsach, unosząc z szaloną szybkością piątego partnera i jego towarzysza przez ziemie Unii



z zachodu na wschód, aby po przebyciu Skalistych gór i Stanów: Wyoming, Nebraska, Yowa, Illinois dosięgnąć Chicago 8-go czerwca o 8-ej godzinie rano minut 37.

Ci, którzy mimo ostatnich niepowodzeń pomarańczowego sztandaru pozostali mu jeszcze wierni, powitali go teraz z tryumfem, wróżąc rychłe powetowanie strat w nowo rozpoczętej grze.

Dziewięć: z sześciu i trzech, oto ilość punktów powtarzająca się po raz trzeci. A więc teraz nareszcie po szalonej podróży na Florydę, a z niej do Kalifornii, wystarczało utrudzonemu komodorowi poruszyć się zaledwie, by znaleźć się w Stanie Wisconsin, czyli w 26 przedziałce, nie zajętej właśnie przez żadnego z partnerów.

— Szczęśliwy ten rzut zrównał go prawie z Crabbem i Maksem Réalem i niech tylko dalej tak pójdzie, wszystkich jeszcze prześcignie! — powtarzano sobie w kołach mu przyjaznych,

### W domu przy ulicy South Halstedt.

— Synu mój, ty tu dzisiaj! Co cię sprowadza tak niespodziewanie?... — zawołała pani Réal, biegnąc naprzeciw swojego jedynaka, który ukazał się wraz z Tomym niosącym kuferek, we drzwiach swego mieszkania, przy South Halstedt str. — Wierzyć mi się nie chce, że to ty naprawdę...

— Ja, mateczko, ja we własnej osobie, zdrów i wesół jak zawsze! — odpowiedział młody malarz, całując czule swą matkę ukochaną.

— Rada jestem, że cię widzę, bardzo rada, tylko sądziłam żeś daleko od Chicago, bo gdzieżeś to miał być teraz?... —

— Gra przeznaczyła mi ostatnio Richemond, lecz zażęknęłam za tobą, a że Chicago miałem po drodze, i że to dziś dopiero 1 czerwca, więc zdecydowałem się spędzić w domu tych kilka dni wolnych.

— Dobrze z ciebie dziecko... O, jakżebym pragnęła, żeby się ta gra już zakończyła.

— A ja!...

— Ale zakończyła na twoją korzyść...

— Naturalnie, i jestem tego tak pewny, jakbym już trzymał w ręku miliony naszego Hypperbona — rzekł Maks z wesołym śmiechem.

— Ty zawsze tylko żartujesz, a ja mówię seryo. Ale siadaj, zaraz nam podadzą gorące śniadanie. Głodny jesteś pewnie?

— Jak wilk z lasu! Jadę prosto ze stanu Wyoming, gdzie otrzymałem depeszę Tornbrocka. Prawda, że wcale nie zły jest dla mnie ten ostatni rzut kości. Punktów ośm dodanych do poprzednich dwudziestu ośmiu, to Stan Illinois, więc podwajam je, i otrzymuję czterdziestą czwartą przedziałkę, to znaczy Stan Wirginii, miasto Richemond. Ale ja ci to powtarzam, co niezawodnie znane ci już z gazet.

— Niemniej jest mi przyjemnie posłyszeć teraz jeszcze z ust twoich. A więc masz kilka dni wolnych?... —

— Do 12-go czerwca, i czas ten zamierzam spożytkować na wykończenie dwóch płócien, do których staranniejsze przygotowałem szkice; jeden widok z okolic Fort-Riley, drugi z Parku Narodowego.

— I oddasz je na wystawę?

— Tak zamyślam, a będzie to najpewniejsza moja wygrana, bo że spieniężę je dobrze, ani wątpię o tem. Przecież nie napróżno wie o mnie teraz cała Ameryka. Stałem się sławny, mateczko! O, nietyle jeszcze jako artysta, lecz jako pierwszy partner przesławnej gry — dodał żartobliwie

Tak rozmawiali matka z synem, spożywając śniadanie, przy której służył Tomy, uszczęśliwiony również powrotem do domu, ciesząc się nadzieją, że skoro tylko pan jego stanie się bogatym, spełni swą obietnicę, kupując go na

swą własność. Biedny Tomy! Jemu wolność obywatela w wolnej Ameryce tak niedogodną była, jak niewygodnem komuś jest zbyt obszerne ubranie.

Ponieważ przez czas swej podróży artysta zajęty prawie wyłącznie swą sztuką, mało zaglądał do gazet, pozostało mu nieledwie obcem obecne położenie jego współpartnerów.

— Jakże oni teraz stoją wszyscy, kto posunął się najdalej? — pytał.

— Najlepiej poznasz to z mapy rozłożonej na stole w mym pokoju; więc przejdźmy tam, a dam ci jeszcze niektóre objaśnienia.

— Oh! — zawołał Maks, pochylając się nad mapą Stanów Zjednoczonych, na której różnych punktach zatknętych było siedm kolorowych chorągiewek, więc to nasze są barwy! Ale dla mnie to jeszcze rzeczy prawie niezrozumiałe. Kogoż naprzykład przedstawia ta niebieska chorągiewka?

— To barwa Toma Crabba, który 31 maja wysłany został do czterdziestej siódmej przedziałki, Stan Pensylwania.

— Sądzę, że dla tego bezdusznego stworzenia rzecz to obojętna, ale jego opiekun, może być najzupełniej zadowolony; położenie świetnie! A czyja ta barwa czerwona?

— Nieznanego X. K. Z. — Przedziałka czterdziesta szósta, obwód Kolumbia

— Przoduje nam również. I nic dotychczas o nim nie wiadomo?

— Pozostał, jak z początku okryty tajemniczością, a szczęście sprzyja mu szczególnie.

— Więc on teraz w stolicy państwa, w Washingtonie.

— Czy już tam jest, nikt zapewne nie wie; nie go też jeszcze nie nagli, czasu ma dosyć, a podróż niedaleką, chyba, że chciałby zwiedzić miasto, jeśli go dotychczas nie zna.

Poznać Washington, czyż to nie warto trochę trudu? Wszakże to stolica całego Zjednoczonego Państwa, miasto pięknie położone wśród wzgórz nad zlewem rzek Potomac i Anacostia, a bogate, jak żadne inne w przepyszne budowle, z łatwą komunikacją z morzem przez zatokę Chesapeake. A jako w rezydencji prezydenta życie podwójnem bije tam tętnem, tworząc punkt zborny politycznego i narodowego ruchu. Wznosi się też Washington ciągle, chociaż powoli i nie będąc wcale fabrycznem, liczy przeszło dwakroć pięćdziesiąt tysięcy ludności.

Jeżeli więc siódmy partner nie znał do owej pory stolicy swego kraju, stanie przedewszystkiem pełen zachwytu przed wspaniałym Kapitołem, górującym nad całem miastem, ze wzgórza nad rzeką Potomac. Jest on jednym z najświetniejszych pomysłów amerykańskiej architektury, właściwie bowiem trzy olbrzymie budynki łączy żelazna kopuła z wielkim posągami Ameryki u szczytu.

Każdy z tych gmachów ma swe przeznaczenie; tu odbywają się posiedzenia Senatu, tam Izba deputowanych, w trzecim zebrania Kongresów. A jak imponujący jest zewnętrzny ich widok z perystylem o podwójnej kolumnadzie, tak niemniej bogate są liczne sale, zdobne w płaskorzeźby i freski oraz posągi ludzi zasłużonych.

Zboczywszy od Kapitulu na Bulwary, łatwo odnaleźć w sąsiedztwie gmachu Skarbu państwa i różnych ministerstw pałac prezydenta, o dość stosunkowo skromnym wyglądzie, znany wszakże światu całemu pod nazwą: „Białego domu.” A jeszcze dalej nad wodami Potomacu, ponad zielenią parkową jaśnieje kuty z jednego bloku białego marmuru, na 157 stóp wysoki obelisk, wzniesiony ku czci nieśmiertelnych zasług i sławy generała Washingtona.

Nikt też bezwątpienia, kto jest w tem mieście nie zaniedba poznać rzadkiej piękności gmachu Zarządu Poczty, całego z marmurów, w stylu starożytnym.

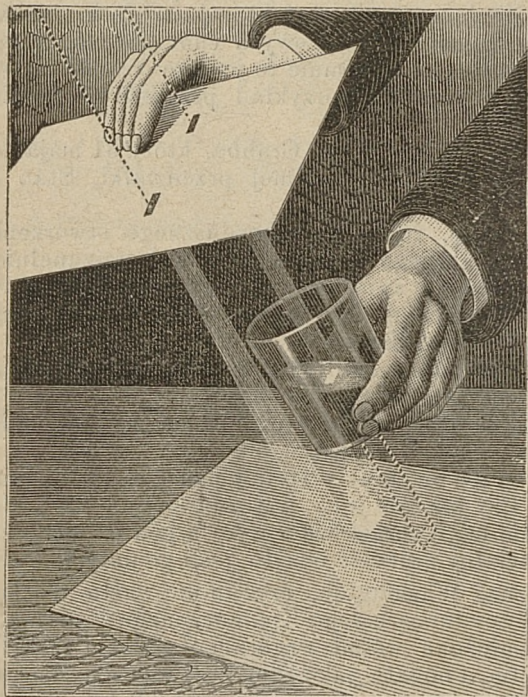
A ileż godzin przyjemnych i pouczających spędzić można w bogatych muzeach przyrodniczych i etnograficznych, w sławnej instytucji „Smithsonian,” lub wreszcie w galeriach sztuk pięknych, gdzie złoto Nowego Świata dozwol-



liło zgromadzić cenne okazy pendzla i dłuta artystów starej Europy. Żaden też dobry patriota nie pominie arsenału, przy którym wznosi się kolumna ku pamięci marynarzy amerykańskich, poległych w walce morskiej w pobliżu Algeru, kolumna, na której widnieje groźbą tchnący napis: „Zabitym przez Anglików.”

(d. c. n.)

## Rozrywki naukowe.



Łamanie się i rozkład światła.

Fizyka uczy nas, że światło jest ruchem cząsteczek nie-pochwytnego eteru, który oko nasze zdolne jest spostrzeżać. Otóż ruch tych cząsteczek przy natrafianiu na pewne przeszkody zbacza z linii prostej czyli załamuje się.

Łatwo przekonać się o tem możemy, przepuszczając promień światła słonecznego np. przez wodę, która jest gęstsza od powietrza. Ale załamanie się światła wywołuje jeszcze inne zjawisko, a mianowicie rozkład światła białego na siedm kolorów tęczy. Różnorodność barw wynika bowiem z różnej szybkości drgań cząsteczkowych, więc przy załamaniu się promienia białego, te siedm barw rozbiegają się, przyczem najbliższy pierwotnej drogi będzie kolor czerwony, a najwięcej oddalony — fioletowy.

Poniżej podane doświadczenie pozwoli naszym czy-

telnikom przyjrzeć się tak załamaniu, jak i rozkładowi światła.

Nachylmy szklankę, w trzeciej części napełnioną wodą, a otrzymamy pryzmat, na którym będziemy mogli obserwować zjawisko łamania się i rozkładu światła.

Umieszcza się szklankę w smudze światła nad kartą białego papieru i nachyla się w ten sposób, aby oś szklanki leżała równolegle do promieni słonecznych. Następnie pomiędzy szklanką i promieniem trzymamy karton, tak jak nam to rycina wskazuje. Lecz w kartonie tym należy poprzednio wyciąć wązki otwór, przez który przechodzić będą promienie słońca. Otwór ten odbija się bardzo wyraźnie na karcie białego papieru, leżącego pod szklanką. Trzymając karton w ten sposób, aby otwór znajdował się równolegle do powierzchni płynu i przepuszczają przezeń promień, zobaczymy wyraźnie zboczenie promienia i rozkład jego na siedm barw.

## METAGRAMY.

Przez *d* w różnych zdarzeniach jest ważną dla ludzi.  
Przez *ż* niekiedy litość, a czasem wstręt budzi.  
Przez *m* z włókien, lub słomy bywa wyrabiana.  
Przez *r* dla ulgi w spłacie, wielce pożądaną.  
Przez *w* z krajów gorących rośliny pochodzi,  
A tam najpożądaną, gdzie mróz zdrowiu szkodzi.

## ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

przez Chochlika dla czytelników „Wieczorów.”

1. Samogłoska.
2. Przyjaciół Mickiewicza
3. Miasto w gub. kaliskiej.
4. Przylądek w Ameryce południowej.
5. Tytuł poematu Jul. Słowackiego.
6. Miejscowość w Galicyi słynna z obszernej puszczy.
7. Uczniowie Długosza.
8. ....
9. Zbiory bardzo dawnych przedmiotów.
10. Starożytny naród.
11. Miasto w gub. lubel. znane z konfederacji przeciw [Sasom]
12. Nazwa wielkiego działu w zoologii.
13. Ryba morska jadalna.
14. Organ zmysłu.
15. Samogłoska.

Rząd środkowy oraz środkowe litery powinny złożyć tytuł powieści Sienkiewicza.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 42-go.

Szaradg: Kon — stan — ty — no — pol.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Kość słoniowa przez P. Gr. (z ryc.) — Tornister, obrazek przez J. R. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — 10 i 11 list Janka Ż. do Redakcyi Wieczorów. — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Rozrywki naukowe, łamanie się i rozkład światła (z ryc.) — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek: Ekran na lampę (z ryc.) — O gwiazdce, wiersz W. B. — Dzienniczek Wandy. — Bajka o chłopcu zaklętym w karla. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Mały książę, powieść z życia żaków, według I. J. Kraszewskiego, przez Zofię Mrozowicką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 24 Октября 1900 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.





## EKRAN NA LAMPĘ.

Bierzemy zwyczajny biały papier i sklejamy kilka kawałków razem, ażeby otrzymać pasek długi na trzy łokcie, a szeroki półtorej ćwierci i układamy w harmonijkę fig. 1.

Tak złożoną harmonijkę wycinamy następnie w ząbki i nożyczkami robimy dużą dziurę na wylot fig. 2, przez którą przewlekamy sznurek i mocno zawiązujemy. A teraz rozwijamy harmonię nakształt okrągłego wachlarza, zlepivszy poprzednio jej końce.

Ażeby mieć ekran trwalszy, można z każdej strony wachlarza przyczepić małe kółka, wycięte z biletów wizytowych. W każdym kółku przekłuwamy po dwie dziurki, przez które, jak również i przez wachlarz przewlekamy sznurek; koniec jego trzeba przyciągnąć i mocno związać fig. 3. Łatwo jest też zrobić podstawę pod ekran. Trzeba wziąć kijek pół łokcia długi i jeden jego koniec przyczepić razem z kółkami tekturowymi do wachlarza, a drugi włożyć do jakiej flaszki o dużym dnie (np. od atramentu) lub też wsunąć w dużą kulę z gliny utoczonej.

Teraz możemy ozdobić nasz ekran malując go w jakie kwiaty i liście, lub też bierzemy jednego koloru farbę, rozpuszczamy jej trochę w wodzie, zanurzamy w nią szczoteczkę i z wolna otrząsamy nad ekranem — przyczem na papierze tworzą się kolorowe większe i mniejsze kropki. Kijek z tekturą podstawą możemy pomalować farbą metalową.

*Dur.*



## O gwiazdce.

Widzisz to niebo, kochana dziatwo,  
Gdzie srebrne gwiazdki migocą.  
A które myśląc, że to tak łatwo,  
Zliczyć kusiłaś się nocą.

Ażdyś poznała, że wzrok nie może  
Objąć ich w żadnym sposobie,  
Myślałaś, że je zliczysz w jeziorze,  
Co odbijało je w sobie.

Ale w ich roju, pełen zdumienia,  
Wzrok się twój błakał i korzył,  
I Temu niosłaś hymn uwielbienia,  
Co je policzył i stworzył.

Główka niezwykłą zajęta pracą,  
W której się myśli gubiły,  
Dumała nieraz: gwiazd tyle! — na co?  
Czy po to, by nam świeciły?

Czy Pan Bóg na to w niebios oddali,  
Mlecznym je rozlał ruczajem,  
Aby się ludzie im przyglądali,  
A oni ludziom nawzajem?

Może!... Bo wszakże dziatwie mej miłej  
Dotąd w pamięci zostanie,  
Jakie to o nich cuda prawily,  
Stare klucznice i nianie.

Pomnisz, o dziatwo, te długie noce,  
Gdy wzrok twój gwiazdy przezierał  
Myśląc, że łyzy tak błyszczą sieroce,  
Które Bóg z ziemi pozbierał.

Podrósłszy nieco, pytałaś taty,  
Znów o te gwiazdy złociste,  
A tatko odrzekł, że to są światy,  
Jak księżyc, słońce ogniste...

I nowa bieda!... Jakim sposobem,  
Sama pytałaś u siebie,  
Boś tylko z ziemskim znała się globem,  
Obcym ci świat był na niebie.

A jednak dziatwo, tak jest w istocie!  
Choć cię myśl o tem przestrasza:  
Ten błądy księżyc i gwiazd tych krocie,  
To wszystko ziemie, jak nasza!



Jakżeby człowiek był próżny, mały,  
Gdyby przypuszczał choć chwilę,  
Że li dla niego ten świat wspaniały,  
I gwiazdek stworzył Bóg tyle.

A każda gwiazda — o! to świat wielki,  
I trudno dojrzeć ich końca...  
Choć błyszczą niby rosy kropelki,  
Są gwiazdy większe od słońca.

Nieprawdaż, że to na baśń zarywa,  
Którą rój nianiek układał?  
A przecież w słowach tych prawda żywa,  
Której się rozum dobała.

A co on zdobył w wiekowym trudzie,  
To nam przyswoić potrzeba.  
Może i na nas patrzą się ludzie,  
Z jakiej tam gwiazdy wśród nieba;

I tak słuchają, o! moi mili,  
O naszej ziemi ciekawie,  
Jak ty mię dziatwo słuchasz w tej chwili,  
Kiedy o gwiazdach ci prawię.  
*Ze zbioru „Dla dzieci” W. Bełza.*

## Dzienniczek Wańdzi.

(Dalszy ciąg).

*Colombo d. 12/5 1900 r.*

Upał szalony, nic pisać nie mogłam. Póki się było na pokładzie, to jeszcze jako tako można wytrzymać, ale w kajucie jak położyliśmy się, to pomimo, że ojczulek zstawił okienko i drzwi otwarte, odrobiny wiatru nie było, więc duszno nie do wytrzymania. Ja nic nie mówiłam, chociaż pot lał się ze mnie, leżałam sobie cichutko, bo myślałam, że może rodzice zasnęli. Ale gdzie tam, po pewnym czasie słyszę, mamusia wdycha.

— Nie możesz usnąć? mówi tatuś cicho.

— Nie, nie mogę — odpowiada mamusia.

— Duszno ci?

— Trochę, ale proszę cię, nie rozmawiajmy, kiedy ona dzięki Bogu, pomimo upału usnęła.

Wtedy ja odezwałam się:

— Mamusiu, ja wcale nie śpię, tutaj spać niepodobna.

— To pójdziemy na pokład — zaproponował tatuś.

Zerwałam się z radością z łóżka, było ono jak złane od potu. Zarzuciliśmy na siebie lekkie szlafrociki i dalej w górę, by cokolwiek przynajmniej odetchnąć.

Tutaj widok prawdziwie był ciekawy: dużo osób drzemało na fotelach, inni znosili materace i kładli się na nich, bo w kajutach nikt nie mógł wytrzymać.

Odpocząwszy trochę i ochłodziwszy się nieco, ale bardzo mało, powróciliśmy do kajuty i w końcu udało nam się zasnąć, ale zbudziliśmy się wcześniej z wielkim bólem głowy.

Biedny Georges dostał febry; matka była o niego bardzo zaniepokojoną, siedziała przy nim ciągle. Ja tak, że poszłam odwiedzić go i zabawiałam jak mogłam, ale musiałam się usunąć, bo jak tylko mnie zobaczył, zaraz wołał:

— Racontez — moi un conte — a doktor nie pozwolił. Pokazywałam biedakowi tylko obrazki w tej książce od cioci Kostuni.

Teatr, czyli koncert, bo nie wiem jak to nazwać, bo wszystkiego tam było potrosze, udał się znakomicie. Zrobili co mogli, nie mając nut, ani żadnej sztuki do grania, radzili sobie jak mogli, dobrze radzili. Piosenki śpiewali bardzo wesołe, a w sztuce występowały dwie kobiety, to jest dwóch za kobiety przebranych żołnierzy w perukach, bardzo zręcznie z pakuł zrobionych. Były także deklamacye. Zbierali potem na rozbitków. Kapitan ofiarował szampana, wypiliśmy cały kieliszek tego dobrego słodkiego wina, aż mi trochę w głowie zaszumiło.

Morze dzisiaj znowu zupełnie spokojne; nic nie wiadać na horyzoncie, prócz kilku mew, z których niektóre krążą w okóło nas, to znów oddalają się. W tej chwili spadł na pokład śliczny ptaszek żółty, dosyć duży, zaniósłam go Georgeowi, tak nim się ucieszył. Delikatnie trzymał w wychudłej trochę rączce, biedny on, jeszcze nie jest zupełnie zdrow.

Pani Péllacot uściskała mnie serdecznie za moje zajmowanie się jej dzieckiem. Rozczuliła mnie ta jej dobroć, boć przecie nie ma znów za co dziękować, cóż to za zasługa iść odwiedzić chore dziecko i pobawić się z niem trochę, toż to przyjemność tylko — mnie go tak żal.

Jesteśmy zasypani sadzami z komina, co chwilę trzeba się odmuchiwać i strzepywać, bo wszędzie ich pełno. Dzisiaj z upału wcale nie grałam, w ogóle trudno się czemś zająć, przy tylu stopniach ciepła, dochodzi 40 stopni. Jutro zacząnę brać tusz prosto z morza, ale czy to mnie ochłodzi?...

Przeżyliśmy straszną chwilę. Statek nagle stanął, coś się przy maszynie zepsuło. Tak się przestraszyłam, myślałam, że toniemy. Kajet spadł mi z kolan, pióro wypadło z ręki, ale ani nie powstałam z fotelu, ani nie krzyknęłam, nie chcąc mamy więcej przestraszać, która zbladła bardzo i powiedziała:

-- Boże, co się stało?

Zanim zdołałam odpowiedzieć, już ojciec przybiegł wołając zdaleka, abyśmy się nie przerażały, bo to nic nie jest. Jakoż też po godzinie pojechaliśmy dalej.

Ale ja z tego przestrachu wybuchnęłam nagle płaczem; ojczulek usiadł koło mnie i niby to mnie łajał, mówiąc:

— A to dopiero beksa; ale ja czułam, że mnie żałował. Na pocieszenie zaprowadził mnie na drugi koniec okrętu, gdzie majtkowie zarzucili wędkę, raczej hałas przynętą dla rekinów, które za statkiem płyną. Rzekę czywiście, zobaczyłam jakiegoś wodnego potwora, rzucającego się na nie, ale cóż, majtkowie, zawczasie pociągnęli za sznur, więc jeszcze nie chwycił i drugi raz już mądrąla nie chciał próbować.

*Colombo 15/5 1900 r.*

Mój Boże, toż to dzisiaj miesiąc temu, jak byliśmy w La Bare na Świętach Wielkanocnych. Spaliliśmy w du



zym pokoju na drugim piętrze; rano przyszedł do mnie Antolek i wołał: Wanda wstawaj, placek już na stole. Przyszły książki z Polski od wuja Antosia.

Zerwałam się na równe nogi, ubrałam szybko i zesłałam na dół. Ciocia krzątała się koło śniadania, Antonina pokazywała placek czy taki lubię. Antolek ciągnął mnie aby pokazać książki. Wuj Ludwik wołał, żebym przyszła zobaczyć pierwszy bez. Stach chciał, abym słuchała pierwszego kawałka, który gra na pamięć.

Był gwar, ruch, miło było między swemi i przyjemnie. Wszystko, co podała Antonina, takie polskie, smaczne.

Przypominałam sobie te szczegóły, gdy przyszła Janiaf Georges już zdrowy i zaproponowali mi grę w piłkę. Poszłam po nią do kajuty i bawiliśmy się doskonale.

Teraz już coraz więcej zapoznajemy się z tymi, co jadą z nami. Już też drugi tydzień jesteśmy razem. Mama bardzo polubiła panią Péllacot, jest ona hrabianka z domu i bardzo dobrze wychowana. Rozmawiają sobie te panie, razem robią roboty. Bardzo pragnęliśmy, aby zostali z nami w Hanoi, ale ani my, ani oni nie jesteśmy tego pewni, co z nami się stanie i gdzie nas odkomenderują. To jednak przykro, tak nie o sobie nie-wiedzieć.

Colombo d. 17/5 1900 r.

Nie dokończyłam ostatniego dzienniczka, bo też stało się coś okropnego — nie wiem nawet czy ja to potrafię opisać. Boże, Boże, dziw w ogóle, że ja jeszcze żyję. W głowie mi się mąci od tego wszystkiego. Ale muszę opisać porządnie, jak to było.

Otóż byliśmy na pokładzie, pani Péllacot, tatuś, Georges i ja. Pani Péllacot robiła robotę, tatuś uczył się po anamicku, ja czytałam „la famille du baronet,” Georges bawił się konikiem z drzewa tuż przy balustradzie. Było cicho i spokojnie; czytałam z wielkiem zajęciem, zupełnie nie wiedząc co się dokoła mnie dzieje, wtem słyszę krzyk i mignął mi się Georges, spadający w morze. W tej samej chwili widzę ojca zrzucającego mundur i buty i wskakującego przez balustradę za nim. Zaczęłam krzyczeć jak szalona, nadbiegli oficerowie, statek zatrzymał się, a równocześnie zaczęli spuszczać łódź ratunkową. Pani Péllacot zemdląła i spadła z krzesła bez żadnego nawet krzyku, ale jej nikt nie ratował.

(d. c. n.)

## Bajka o chłopcu zaklętym w karla.

(Dalszy ciąg).

— Jeżeli chcesz u mnie służyć — rzekł pan łaskawie — to pobierać będziesz rocznie pięćdziesiąt dukatów i abranie, a za to musisz mi codziennie sam gotować śniadanie i rozporządzić, jak ma być obiad zrobiony. W ogóle, będziesz miał nadzór nad całą moją kuchnią, a ponieważ u mnie musi mieć każdy przezwisko, ty więc będziesz nazywał się Nosalem i przysługiwać ci będzie tytuł podkuchmistrza.

Karzeł Nosal upadł księciu do nóg i obiecał wiernie mu służyć, a obowiązki swoje spełniał tak dobrze, tak su-

miennie, że książę stał się odtąd innym w ogóle człowiekiem. Dawniej często bywało, że książę rzucał półmiski na kucharzy, teraz nigdy nie zdarzały się takie wybuchy gniewu. Dawniej jadł książę trzy razy dziennie, teraz pięć razy dziennie zasiadał do stołu, bo nie mógł dość nacieszyć się sztuką kucharską swego kucharza, który coraz inne wymyślał przysmaki, a pan witał z uśmiechem każdą nową potrawę, jadł, jadł — i tył coraz więcej. Chcąc zaś w wyraźny sposób okazać kuchmistrzom zadowolenie i łaskę monarszą, kazał ich raz po raz wołać do sali jadalnej, sadzał jednego po prawej stronie, drugiego po lewej — i sam własnemi książęcemi palcami smaczne kąski do ust im wkładał.

Obadwaj przyjmowali z uczuciem głębokiej wdzięczności ten wyraźny objaw wyjątkowej łaski monarszej.

Tymczasem stał się karzeł przedmiotem podziwu i zaciekawienia całego miasta. Formalnie błagano nadkuchmistrza o pozwolenie przypatrzenia się, jak Nosal gotuje, a kilku znakomitych ludzi wyprosiło u księcia, że pozwolił brać ich kucharzom lekcye gotowania u tej niezwykłej znakomitości.

W ten sposób przeszedł całe dwa lata bez nadzwyczajnego zdarzenia. Jakób miał dostatek, uznanie, a tylko myśl o rodzicach trapiła go niekiedy.

Razu pewnego poszedł na targ kupić gęsi tuczonych, za któremi książę już zateęsknił. Zaledwie ukazał się na rynku, oczy wszystkich przekupek zwróciły się ku niemu, bo wszystkie wiedziały, że to kuchmistrz nadworny i każda z nich rada była sprzedać mu swój towar. Nosal przejrzaawszy wszystkie klatki z drobiem, spostrzegł na uboczu pewną kobietę, która nie zachwalała towaru jak inne. Zbliżył się do niej, a ponieważ gąski były młode, tłusciutkie, więc kupił trzy wraz z klatką, wziął na plecy i niósł ku domowi. Ale w drodze zwróciło jego uwagę, że tylko dwie gęsi gęgały zawzięcie, jak zwykle gęsi, trzecia zaś siedziała cichutko, a tylko od czasu do czasu wdychała jak człowiek.

— Pewno z niej nic nie będzie — rzekł Jakób do siebie — gotowa jeszcze zdechnąć; trzeba ją zarznąć czempredzej.

Wtem gęś odezwała się wyraźnym, ludzkim głosem:

Złego mi nie rób,

Bo cię czeka grób!

Gdy mój los twe serce wzruszy,

Gąska może więzy skruszy.”

Przestraszony karzeł postawił klatkę na ziemi i zaczął przyglądać się dziwnemu stworzeniu, które tymczasem patrzyło na niego wcale nie gęsiemi oczami.

— Hej, do licha? — pomyślał Jakób — w tem tkwi jakaś ciekawa historia; coś mi się marzy, że los tej gęsi podobny do mego losu z czasów, gdym był przemieniony w wiewiórkę.

— Zgadłeś — odpowiedziała gęś — nie zawsze chodziłam w pierzu, które mię teraz pokrywa, a nad kolebką moją nie śpiewano, że Mimi, córka potężnego czarodzieja Burzyka, będzie zarzniętą na stół królewski.

— Ale panno Mimi — pocieszał karzeł — nie zrobię ci nic złego, klnę się na honor uczciwego człowieka. Zaniósę cię do domu, umieszczę w stajence jak można najwygodniej, nie poskąpię pokarmu, a w wolnych chwilach



służyć ci będę rozmową. Aby zaś nikt się niczego nie domyślił, powiem w kuchni, że tuczę dla księcia gęs rozmaitemi specjalnymi ziołami, i gdy tylko zdarzy się sposobność, powrócę ci dawną wolność.

Gęś podziękowała ze łzami w oczach, a karzeł zabiwszy dwie inne gąski, zaniósł Mimi do stajenki, przyniósł jej ciasta i słodczy, które niezmiernie lubiła. Jeśli zaś tylko miał czas wolny, siedł do niej na pogawędkę i jak mógł pocieszał w niedoli.

(d. c. n.)

### ZAGADKA.

Na wprost przestrzeń handlowa zawsze pełna ludzi.  
Na wspak przedmiot zużyty który niesmak budzi.

### ZADANIE KONIKOWE.

dla Niezabudki.

|   |   |   |   |   |
|---|---|---|---|---|
| a | z | c | r | o |
| h | w | d | r | i |
| e | b | e | w | i |
| i | a | g | c | * |

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 43-go.

Zagadki: Czajka.

Łamigłówki kryształowej:

B  
W ó z  
M o r w a  
B o r o w i k  
R o w e r  
L i s  
k



### Skrzynka do listów.

Janinie Chl. „Orla Skala” już wyczerpana, może więc zechcesz wybrać inną książkę z listy, ogłoszonej w Nr. 1, a natychmiast ją wysłamy.

M: Ambr. Może zechcesz: „Wśród chmur i słońca,” „a szczęścia rodziny” lub „Zwalczone uprzedzenie?” są to powieści obyczajowe. Jeśli wolisz opis przygód w dalekich krajach, wybierz „Jurasia i Anulkę.” Należność za przesyłkę możesz nadeśłać markami, o których piszesz, prosimy tylko o dokładny adres.

O. Pren. Dziękujemy bardzo za uwagi, wyrażone w liście z dnia 29 b. m.; powiększamy naszą staranność w tym względzie.

Dobre rozwiązania oraz zadania własnego układu nadesłał: Mały Raczek, Cyganka z Chmielnej, Gwiazdka, Wańdzia, Jastrząb, Józio B. i Helenka N.

Otrzymaliśmy już kilkanaście zdań z najdłuższymi wyrazami. Sprawozdanie podamy w następnym numerze.

Amelci Hac. Chociaż trzeba ci było aż dostać nagrodę konkursie, żeby zacząć ze mną korespondować, mam nadzieję, że po tym pierwszym kroku następne pójdą daleko łatwiej i będziemy nieraz zamieniały z sobą listy, a twoje imię będzie często powtarzało się w skrzynce. Bardzo to dobrze, że zabrałaś się z zapalem do lekcji i robótek, bo jesień to najlepsza pora na pracę i ja sama najwięcej zawsze w tym czasie zrobić mogę. Natura wkoło zabiera się do drzemki zimowej, nie nęci już tak siebie, jak latem, więc trzeba korzystać z czasu i do swojej główki zbierać ziarna i nasiona, aby w lecie życia mózdz plon obficie przynieść. Nagrodę Redakcja już wysłała.

Na zapytanie twe Tadeu W. dlaczego węgiel kamienny, tak niezbędny materiał opałowy tak bardzo w ostatnich czasach podrożał, wyczerpującej odpowiedzi dla braku miejsca dać nie mogę. Przyczyny bowiem tego są bardzo różnorodne, jedną z nich jest większe zapotrzebowanie węgla na okrętach czynnych w wojnie transwaalskiej i obecnie chińskiej. Olbrzymie bowiem te gmachy, jak ci to z artykułu o „żegludzie” wiadomo, pcha się naprzód po wodach morskich jedynie siłą pary, na której wytwarzanie potrzeba nadzwyczajnej ilości węgla. Gdy więc zapotrzebowanie jego wzrosło, właściciele kopalni korzystają z tego, nakładając wyższe ceny, zawsze bowiem w handlu poszukiwany towar bywa droższy. Skoro więc ustana wojna, spodziewać się można obniżki ceny węgla. Aby Europejskie kopalnie miały być wkrótce wyczerpane, niema podobno racji się obawiać, gdyż zaś to nastąpiło za wiele, wiele lat, to jeszcze nie zmarzniemy z zimna, gdyż inne części świata mogą nam węgla dostarczyć w obfitości. Najbogatsze podobno pokłady węgla są w Chinach, tylko że tam dotychczas przemysł kopalniany prawie nie istnieje i kiedy właściciel dobywa go tylko tyle, ile sam potrzebuje. Jedynym wyjątkiem stanowią kopalnie Karpling, kierowane przez mandarynów i zaopatrujące w węgiel chińskie koleje żelazne. Jeżeli więc kiedy zagrozi nam w Europie brak węgla, oto źródło, z którego będzie można korzystać.

Grusza, którą mi opisujesz Marylko S. jest rzeczywiście pięknym okazem, godnym podziwu, chociaż takie olbrzymy nawet wśród drzew owocowych trafiają się częściej. Niedawno też czytałam, że pewien obywatel w Ameryce posiada jabłoń, która mu tego roku dała 110 buszli owocu. Buszla jest miarą równą mniej więcej 36 litrom. Oblicz więc jaką to ilość jabłek zebrano z tego jednego drzewa. Ale też jest to olbrzym, którego pień wysoki jest 60 stóp, a gruby 14 stóp.

Różowa Chmurka nie przeczytała uważnie zawiadomienia z Nr. 1. Żądana książka należy ci się i wysłana została przez Redakcję. Wybrałam „Smaragd Inkasów.” Marki nadesłałam. Oczekuję szczegółowszych listów od ciebie i Giny, a tymczasem pozdrawiam serdecznie

Wasza Jaskółka.